

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

27

(Ciąg dalszy).

W tej chwili usłyszeli poważny głos:

— Tak, Egardzie, podziękuj jej i Bogu!... Bez niej co byśmy uczynili?

Matka bezwiednie zwróciła na niego swe nieme oczy. Nie mógł znieść tego wzroku: serce pękało mu z litości i bólu.

— Mamo! — zawołał wyciągając ręce.

— Synu!

Instynkt złączył obie ofiary, umierającego i niewidomą.

XXII.

POWODZENIE W ZAMIARACH.

W Roche Forte wzruszenie udzieliło się wszystkim domownikom, nawet służbie. W oficynie obszernie komentowano ostatnie wypadki. W dużej kuchni zgromadził się personal służby koło pani Poudon, głównej kucharki, wielkiej kobiety, o olbrzymich kształtach, przypominającej postacie z obrazów Jordains'a. Okryta wielkim białym fartuchem, z małym czepkiem na głowie, dawała rozkazy swym pomocnikom, wysokiej blondynce i małemu kuchci-kowi.

— Elodjo, uważaj na jagnię, by się lekko rumieniło. Gustaw, kraj jaja do sałaty.

Podobna do komendanta na statku, przypatrywała się swym pasażerom, których stanowili Eustachy, lokaj markiza, Roger, rządca zamku, pokojówka markizy i gruba Ludwika, była mamka Jacka, która uczyła się przy pani Poudon przepisów różnych potraw, by po powrocie do *Palazzo Corsi* przyrzadzać je swojemu państwu.

— Prawda, pani Poudon, iż już czas, by markiz przyjechał — odezwał się rządca z poważaniem, wszyscy bowiem odczuwali nad sobą wszechżółdkową powagę kucharki, której tak obawiano się, i zasługiowano na jej pożywną łaskawość.

— Cóż to szpital w zamku! — zawołał stangret, który przybył przed chwilą do tego towarzystwa.

— Tak, to prawda — rzekła pokojówka, patrząc na Ludwikę. — Naprzód pan Le Chars z pogruchothanem ramieniem.

— I Andrzej, który już tonął.

— I Jacek także — dodała pospiesznie Ludwika.

— Potem markiza z tą żmiją... Ciagle myślę, jak to mogło się stać — zauważył Roger.

— I pani Le Chars, która opaliła sobie ręce przez tego obrzydliwego gada.

— Tak — odezwał się Eustachy, który jeszcze nic nie mówił — cała serya nieszczęść. Na szczęście pan telefonował. Będzie tutaj o dziewiątej.

— Nie wiem — rzekła pani Poudon — czy markiza wyjdzie z tego?

— Już nie wiele pani markizie brakuje — wtrąciła Elodja — i to z powodu jadu żmii. A także ma zmysły pomieszane.

— Można mieć zmysły pomieszane — rzekła decydującym tonem pani Poudon — ale nie z jadu. Przedewszystkiem z jadu żmii nie umiera się, zwłaszcza, że pani Le Chars wszystko wyssała. Przytem doktor Morane powiedział, że z tej strony niema żadnego niebezpieczeństwa. Mogła oszaleć biedna pani, ale to z powodu pojedynku męża. I jak wy chcecie, by nie zwaryowała z takim mężem, który naraża się przez taką Maud Kiss. Tę, tobym porządku wytrzepała końską szpicrutą i kazałabym jej tańczyć cake-walk po gorącym kominie. Oj, ta bestya! dałabym ją jej i po plecach i niżej, ażbym usiekała kotlety!

Oburzenie kucharki spotkało się z ogólnym uznaniem i śmiechem. Eustachy jednak przedstawiciel swego pana, przydzielony tylko do jego osoby, odpowiedział pewny siebie:

— Mam dla pani markizy całe poważanie, jakie każdy jest jej winien. Lecz by znaleźć człowieka, który wart byłby markiza, trzeba obejść ze świecą cały świat i jeszcze nie znajdzie się takiego.

— A jednak znalazł się taki — zawyrokowała pani Poudon, który zabrał mu z pod nosa jego cananę...

— Ale też za to kolnął go dobrze pod zebro.

— I to tak, że nie wiele już mu brakuje — dodał rządca.

— Skąd to pan wie — zapytał stangret.

— Słyszałem, jak konsul mówił do żony.

— O, pan markiz to jest twardy człowiek, nie ma i co mówić — odezwała się Elodja.

Pani Poudon spiorunowała ją wzrokiem.

— Elodjo, proszę pilnować soku maderowego i oszczędzić nam swych uwag o panu markizie, który nie wie, co z nim robić. Zwróciła się do wszystkich:

— Obywa on się bez naszych sądów... To jest mój pan... Ja nie uchybiam panu markizowi, gdy mówię, że jego pojedynek o taką dziewczynę nie jest ani chrześcijański, ani dobry. Nadziać człowieka na szpadę jak na rożen...

Wymowę kucharki przerwało pojawienie się starego Landry'ego ze sarną na ramieniu.

— Dobry wieczór całemu towarzystwu. Dobry wieczór pani Poudon, przynoszę prezent.

— Dziękuję pani Landry. Proszę, niech pan siada, może szklaneczkę wina.

— Nigdy nie piję przed jedzeniem. Dziękuję. Przy stole to co innego, wtedy kieliszek dobrego wina nikomu nie zaszkodzi.

Pani Poudon patrzyła na starego leśnika łaskawym okiem; považała go i miała dla niego względy.

— I co pan mówi na to wszystko? Niech nas pan rozsądzi... Jedni są za markizem, mimo jego szaleństw, które stanowią męczarnie markizy, ja zaś jestem za panią i spodziewam się, że nie jestem sama.

— Wszyscy czekali na odpowiedź poważanego leśnika.

— Ja myślę, pani Poudon, że każdy ma dosyć do czynienia z własnym sumieniem i nigdy nie pozwalał sobie sądzić o drugich, a tembardziej o tych, których jem chleb.

— Lecz przecież pan ma także swój sąd o tem.

— Nie rozmawiam o tem, co do mnie nie należy. Dosyć mam roboty jako leśnik. I teraz muszę iść wyciągnąć sieci z jeziora. Dobranoc.

— Dobranac pani Landry — odpowiedziano mu chórem.

Pani Poudon powiodła wzrokiem po zebranych.

— Landry jest roztropny, siedm razy obróci językiem, zanim co powie. Pewna jednak jestem, że jest on mego zdania.

Podczas gdy służba zgromadzona w kuchni dyskutowała szeroko o ostatnich wypadkach w zamku, Maurycy i Joanna, korzystając, że pani Morailles zasnęła, rozmawiali z sobą po cichu.

— Co za straszny wypadek — rzekła Joanna — jakie fatalne skutki pociągnął za sobą. Czy Aurora rozpoznawała mnie przed zaśnięciem?

— Zdaje mi się, że tak. Dlaczego jednak ona nie uwolni się od tego męża bez najmniejszych skrępułów; dlaczego nie zażąda rozwodu po tym skandalicznym pojedynku.

— Z przesadami, jakie panują w jej świecie...

— No to podać się do separacji. Przecież postępowanie jego jest haniebne; bić się o kochankę i taką kochankę?...

— Mówisz zupełnie jak pani Seymour; ona dawała te same rady.

— To dowodzi, że mówię słusznie, bo pani Seymour jest kobietą praktyczną i prawą.

— Tak, ale Aurora odpowiedziała, że niczego już nie żąda od życia, a proces rozwodowy wywoła tylko skandal.

— Biedna, nieszczęśliwa kobieta!

— Dodała, że i on się na separację nie zgodzi, choćby ze względów majątkowych. A w takim sporze on będzie zawsze silniejszy.

— Tego jeszcze nie wiemy.

— Nie zawaha się użyć nawet gwałtu, a w razie potrzeby odważy się na zohydzenie jej publicznie. Sądzę, że jest on zdolny do wszystkiego.

— Ależ Joanno, i ty się poddajesz nastrojowi, jaki tu zapanował. Prostu nie poznaję cię od chwili, gdyśmy przyjechali do zamku. Ciagle jesteś przestraszona, jakby z tych murów mieli wyjść ku nam zamaskowani zbiry. Halucynacje Aurory wpływają i na ciebie, a markiz przedstawia ci się, jako wcielenie zła. Może i ty już jesteś gotowa uwierzyć, że ona istotnie widziała...

— Kto wie?... Można się wszystkiego po nim spodziewać...

— Ale chyba nie tego, by się zamienił w widziadło i przechodził poprzez ściany. Zresztą ogładałaś sama boazeryę i przekonałaś się, że jest za nią najzwyczajniejszy mur.

— A jednak to wszystko jest dziwne i podejrzane...

Weszła Ludwika i oznajmiła, że obiad już podano. W sali jadalnej oczekiwał już Andrzej. Był on dumny z siebie, ponieważ ze starym Landrym poszedł na polowanie i poraz pierwszy zabił sarnę.

Obiad ciągnął się powoli i smutno. Nad wszystkimi zapanowała jakaś duszna atmosfera przynę-

bia. Joannie podawał wszystko do ust Maurycy, z powodu bowiem poparzenia rak, nie mogła utrzymać ani łyżki, ani widelca.

— O dziewiątej godzinie przed podjazd zajechał samochód, z którego wysiadł pan Morailles i doktor Saffroy.

— Wyjdę do nich — odezwał się Maurycy.

Zastał ich w fajczarni, grzejących się przy kominku, wieczór bowiem był zupełnie chłodny.

Markiz powitał go pierwszy.

— Dzień dobry drogi panie... Pozwoli pan, że przedstawię: doktor Saffroy, którego poprosiłem o zbadanie stanu zdrowia markizy. Niech pan nam opowie naprzód o ostatnich wypadkach... Czy wzruszenie żony nie pozwala teraz...

Pani Morailles spoczywa obecnie — odrzekł Maurycy — i opowiedział całe zdarzenie z ukąśzeniem żmii i halucynacją; markiz przysłuchiwał się uważnie z niewinną miną.

Oh! Oh! — dziwił się Saffroy i spoglądał na markiza, jakby chciał zwrócić jego uwagę na doniosłość symptomów choroby markizy.

Maurycy nie mógł powstrzymać pewnej odrazy, jaką uczuł od samego początku do doktora. Stanowczo nie podobał mu się; nieprzyjemnie mu było, że tego właśnie doktora wybrał markiz na zbadanie zdrowia swej żony.

— Pan nam niezwykle ściśle i jasno wszystko określił, prawdziwie jak w nocie dyplomatycznej. Widzę, że markiza jest bardzo chora. Teraz może już doktor udać się do żony.

— A czy doktor Morane jest? — zapytał doktor Saffroy.

— Nie.

— Chciałbym, aby był obecny. Czy można pośłać po niego? Pragnę zachować wszelkie formy uprzejmości dla kolegi, który jest domowym lekarzem w zamku od lat już dwudziestu, czyż nie tak?..

Markiz zmarszczył brwi i odezwał się niechętnie:

— Czy to konieczne?

Obawiał się przenikliwości starego praktyka, wątpliwości, jakie mógł wzbudzić w Saffroy'u.

— Tak, to konieczne, tembardziej, że to on będzie musiał wydać certyfikat stwierdzający...

Ostry wzrok pana Morailles powstrzymał go. Zrozumiał, że markiz prosi go o sekret wobec pana Le Chars.

— Wymagam obecności doktora Morane, ponieważ w takich wypadkach żąda tego prawo; miejscowy doktor musi być obecny.

Chciał na starego lekarza złożyć całą odpowiedzialność za internowanie markizy w domu zdrowia. Nie wiadomo, co jeszcze może się stać?...

— Dobrze, poślę Landry'ego po pana Morane, w przeciągu pół godziny będzie już tutaj.

— Doskonale, cniłabym tylko przed północą wyjechać już.

— A nie może doktor zanoć u nas?

— Niemożliwe; rano mam wizytę w szpitalu, potem rzadką operację... wycięcia kawałka płuca, wreszcie potrzebny jestem w Instytucie neurologicznym.

— Ależ pan jest zmęczony; może przed nadejściem doktora Morane posili się pan czem ciepłym?

— Tego nie mogę już odmówić...

Przeszli do jadalnego pokoju, gdzie doktor z zadowolaniem ujrzał zastawiony stół. Po kwadransie przybył Landry i oznajmił:

Pan Morane nie może przybyć wcześniej, jak przed samą północą. Wyjechał o pięć kilometrów stąd do kolonisty, który złamał sobie nogę.

W chwili tej wszedł Maurycy. Markiz nie mógł powstrzymać się od uśmiechu zadowolenia.

— Cóż robić? wobec tego niema innej rady, jak tylko obyc się bez doktora Morane.

Saffroy, składając serwetkę na stole, powstał na znak zgody. Stary leśnik dodał jeszcze.

Po drodze oddano mi także depeszę dla pana Le Chars, oto jest.

Maurycy rozerwał ją.

— Panowie pozwolą?

— Proszę bardzo.

Zmarszczył brwi.

— Czy nie dobra wiadomość? — zapytał nie dbale markiz.

— Nie, nie... chociaż tak... dla nas... Depesza z ministerium, wzywająca mnie natychmiast do Paryża, a stąd po widzeniu się z ministrem do Wenecji, gdzie wybuchł groźny strejk.

— Ach, zawołał z lekką ironią markiz. Jaka szkoda! Już jutro? Tak prędko?

— Depesza express.

— Jakże nam przykro, że tracimy już pana — rzekł pan Morailles, widząc, że szczęście zaczyna